

Zawilec dla Lukrecjusza

A Tulip for Lucretius

Ken Macleod

tłumaczenie amatorskie Jacek Hummel

licencja CC Attribution 4.0 International

Byłem w trakcie orgii kalifornijskiej, kiedy nadeszło wezwanie, niczym głos sumienia. W rzeczywistości, był to głos ojca Declana, ale nie był przeznaczony dla mnie. Jednak nie byłem leniwy przez dwa lata podróży Malacandrą, czy w tych nudnych miesiącach przemierzania centymetr po centymetrze powierzchni Marsa. Podśluchiwałem systemy komunikacyjne statku.

- Niech ktoś wyrwie tego przekłętego ateistę z jego cielesnych uciech.

Tak więc, gdy siostra Agnes zadzwoniła u drzwi, moje sukuby były z powrotem na dysku twardym, a ja siedziałem, ubrany, we właściwym stanie umysłu.

- Och - powiedziała, gdy wpuściłem ją do pomieszczenia. - Jesteś gotów.

Wyglądała na bardziej zawiedzioną niż zaskoczona.

- Usłyszałem .... przypadkiem - powiedziałem. - A na tym statku jest dokładnie jeden przekłęty ateista. Choć sądzę, że cielesne uciechy nie do końca określają to, od czego zostałem oderwany. Jak myślisz?

Agnes pięknie się zarumieniła i spojrzała w bok.

- Tak zwane grzechy ciała są duchowe - powiedziała - jak zapewne wiesz. Ale to nie jest pora na dyskusję. Mamy zezwolenie na wejście.

Puściłem w niepamięć mój tekst i podążyłem za nią na mostek. Przestrzeń wirtualna została poszerzona w taki sposób, aby umożliwić wszystkim wejście na mostek: dwadzieścia siedem osób, z których trzy były księżmi, pięciu mnichami, troje sióstr, piętnaście świeckich i ja – symboliczny ateista.

(Symboliczny ateista tak się nazywała moja pozycja. Uczestniczyłem w tej misji, aby, jeżeli to będzie konieczne, każdy mógł przysięgać w dobrej woli, że nie była to katolicka misja - a także, jak podejrzewałem, że będę pod ręką w przypadku brudnej roboty. W trakcie nieukninionych dyskusji o religii, jakie mieliśmy przez tyle lat, czasami przypominałem dyskutantom, jaka to byłaby żenująca sytuacja, gdyby mnie przekonali, a ja dokonałbym konwersji.)

Ojciec Declan siedział w krześle kapitańskim, poręczne obrotowy fotel naprzeciw widoku wirtualnego. Widok pokazywał ścianą z arkuszy diamentu i różowego pyłu. Statek stał dokładnie naprzeciw zewnętrznej kopuły miasta, jak nos przyciśnięty do okna. Malacandra, w kształcie marsjańskiej skały wielkości pięści, dotarła tak daleko niewykryta po tym, jak upadła jako meteoryt kilka kilometrów dalej. Teraz, nadal niewykryta, wsuwała swoje węglowe nanofibrowe macki do sieci miejskiej. Arkusze diamentu miały złączenia i te prawie niewyczuwalne pęknięcia umożliwiły nam wejście.

Declan uśmiechnął się do mnie. Kiwnąłem głową i oparłem się o ścianę obok Agnes. Gwar podekscytowanych i nerwowych dyskusji powoli ucichł.

- Skoro już tu wszyscy jesteście - powiedział - jesteśmy gotowi. Zhakowaliśmy pozwolenie na wejście do fabryki ciał dokładnie pośrodku Dzielnicy Syntetyków. Wzorce wyglądu zainstalowane, fałszywe tożsamości wygenerowano według waszych ustalonych danych. Jasne?

Wszyscy pokiwali przytakująco.

- Dobrze. Odmówmy szybką modlitwę - Declan mrugnął do mnie. - Ze zwykłym wyjątkiem, oczywiście.

Wszyscy inni pochyłili głowy. Słuchałem i patrzyłem, nieporuszony, jak Declan pośpiesznie wzywał Marię, świętą Bernadettę i świętego Clive'a do wpłynięcia na nasze bezpieczeństwo i sukces. Po Amen rozejrzał się i wykonał znak krzyża w wirtualnym powietrzu. I nagle był trzeźwy i fachowy, jak policjant z Dublina, którym był przed powołaniem. Uruchomił gestem portal kopiujący i skierował nas do tego błyszczącego łuku.

- Ok, wszyscy, według numerów!

Jeden za drugim, tak jak nas wyliczał, przeszliśmy przez świecący łuk. Byłem na miejscu siedemnastym, więc miałem dużo czasu, by zobaczyć wyraz twarzy tych, którzy przeszli przede mną, po tym jak przeszli przez kopiarke i wrócili na swoje miejsce w pomieszczeniu. Dziwne, a w innych przypadkach zabawne, następowanie kolejno zawodu, podniecenia i zamyślenia przebiegało po wszystkich twarzach.

Ponieważ, oczywiście, kopia to tylko to. Jesteś nadal tam, po tym jak się skończy. Przynajmniej jedno z ciebie jest. Druga -

- Siedemnaście ! Henderson Brian!

Przeszedłem przez kopiarke i natychmiast usiadłem prosto, nagi, kaszląc słoną wodą. Po minucie kasłania i spluwania, złapałem krawędzie zbiornika i wyciągnąłem się na zewnątrz na zimną betonową podłogę. Przypominało to wychodzenie z miejskiej łaźni. Pokój był długi i niski, słabo oświetlony, wyposażony w drewniane ławki, poskładane ręczniki i wysokie polimerowe szafki. Nikt inny nie pojawił się w tym samym czasie. Spojrzałem wzdłuż rzędu zbiorników, pustych prócz dwóch, w których ciała przybierały kształty, groteskowe, błyszczące układy mięśni, wnętrzności, skóry i kości. Nie miałem pojęcia, jako który w naszym oddziale przybyłem. Produkcja ciał była niezależna od naszego polecenia kopiowania. Z tego co wiedziałem, dni lub tygodnie mogły minąć.

Szafka naprzeciwko mnie była oznaczona moim fałszywym nazwiskiem: Warren Dutch. Nazwisko było przypisane automatycznie, jako część procesu. Wszystkie imiona, jakie mieli Syntetyki były, cóż, sztuczne: imiona niewolników, nazwiska pornogwiazd. Złapałem ręcznik i się wytarłem. Podeszedłem do szafki, nagi i niezawstydzony, bez grzechu Adama, urodzony ponownie. Ponownie.

\*

Jako nastolatek, jak tylko hormony zaczęły działać, miałem trzy tajne, wstydlive życzenia. Chciałem polecieć na Marsa, chciałem być pewien, że nie trafię do piekła, i najbardziej z wszystkiego, chciałem nigdy się nie urodzić.

Trzeba być ostrożnym z życzeniami.

Zrozumcie mnie dobrze - dorastanie w trakcie Odbudowy nie było złe. W porównaniu z wieloma częściami świata po wojnie, mieliśmy farta w Dominium. Braki nie były gorsze niż w Konfederacji, Unii czy Europie, znacznie mniejsze niż to co ludzie musieli przetrwać w Azji czy na Bliskim Wschodzie. Nawet dzisiaj, wyczuwam, że trochę za dobrze mi idzie. Mogłem bawić się w ruinach, kombatanci i inwalidzi byli traktowani uprzejmie (i z dziecinnym okrucieństwem, ale to akurat jest uniwersalne i nie umiem tego wyjaśnić) i nawet edukacja (choć ograniczona) była dobra.

Nawet obowiązkowa obecność w kościele nie była dla mnie problemem. Nie rozumiałem idei, że była obowiązkowa, ponieważ wszyscy tam szli. Nawet gdyby nie była, rodzice traktowaliby to jako nasz obowiązek. W szkółce niedzielnej, nauczyliśmy się bardzo dobrze Katechizmu i entuzjastycznie wykrzykiwaliśmy Pięć Punktów Kalwinizmu, formułę ZAWILEC<sup>1</sup>:

- Zepsucie całkowite! Automatyczne wybranie! Wytrwanie świętych!  
Łaska nieodparta! Koncyliacja ograniczona!

Nie mogę powiedzieć, że rozumieliśmy cokolwiek, oprócz totalnego zepsucia. Wszystkie dzieci rozumieją totalne zepsucie. (Szczerze, na pewno wszyscy chłopcy).

Będąc dzieckiem, to ma sens. Jezus miał rację. Dopiero jak stajesz się nieco starszy, wtedy sprzeczności zaczynają cię męczyć. Przykładowo, zaczynasz rozumieć fizykę i próbujesz odnieść ją do teologii. Wielkim twierdzeniem w Kalwinizmie, unikalnym argumentem, jest Bóg Rządzi. Wszystkim. Każdą cząsteczką. (Nawet nieokreśloną. O tak, rozumiałem to także). Ale jeżeli każdą cząsteczką, to także każdą myślą. (Używaliśmy podręczników do biologii sprzed Rekonstrukcji, a te nie wspominały o ewolucji, ale opisywały neurofizjologię). Nasi nauczyciele były dumni ze zgodności Kalwinizmu z determinizmem fizycznym. Każda cząstka, każda myśl.

W tym także i grzeszna myśl? Tak.

To dlaczego mamy być obwiniani za grzeszne myśli, jeżeli ... Nie jest nam dane wyjaśnienie. Nie musimy o tym myśleć.

Więc ta myśl również? Tak.

Zatem Bóg określił odwiecznie, że powinienem pomyśleć, że to niesprawiedliwe, że Bóg określił każdą moją myśl odwiecznie i nadal to ja jestem odpowiedzialny za każdą myśl? W tym tę myśl? Tak.

I tak dalej, i tak dalej, czasem wtrącając mnie w rozpacz. To wtedy, zacząłem pragnąć, aby nigdy się nie urodzić. Piekło w ogóle nie pojawiło się na pierwszym miejscu, dopóki nie usłyszałem na kazaniu, że Niebo i Piekło są doskonale i wzajemnie widoczne. Piekło nie byłoby tak nie do wytrzymania bez doskonałego widoku radości świętych, a Niebo nie byłoby tak wspaniałe bez doskonałego widoku cierpień potępionych. Wydawało się logiczne, że Bóg zapewniłby przemyślnie błogosławionym takie radości, a potępionym odpowiednie smutki.

Dla mojego trzynastoletniego mózgu, takie rozumowanie początkowo spowodowało, że Niebo było bardziej atrakcyjne niż wcześniej. Gdyby kiedykolwiek wieczne śpiewanie i granie na harfach znudziłoby się, byłby zawsze do oglądania niekończący się horror Piekła. Byli tacy, nie wszyscy chodzili do mojej szkoły, których wieczne męki mógłbym oglądać z przyjemnością.

Druga część kazania spowodowała, że siedziałem jak na szpilkach. Kaznodzieja wyjaśnił, że, choć mogłoby to być wzbudzające dla naszych twardych serc, świat z Piekłem jest lepszy niż świat bez Piekła, ponieważ bez Piekła pełna chwała Boga nie mogłaby się nigdy objawić. Byłoby lepiej, jeżeli zło istniało, a Boska nienawiść zła byłaby wiecznie widoczna, niż gdyby zło nie istniało w ogóle. Bowiem największym dobrem jest chwała Boga i co po chwale Boga bez znajomości Jego każdego atrybutu przez każde stworzenie?

Ta przyjemna teodycea wstrząsnęła mną. Jakoś zebrałem myśli, pomimo tego, że mówiono mi wręcz przeciwnie, że śmierć Jezusa na krzyżu była, że tak powiem, Planem B, że świat możliwy w którym nasi pierwsi rodzice nie zjedli zakazanego owocu był w istocie kontrfaktyczny.

Ale taki wynik nigdy nie był możliwy. Ten świat, Piekło i reszta, był Planem A. Grzech Adama były odwiecznie określony. Nie było planu B.

Zastanawiając się, gdy szedłem do domu w towarzystwie swoich braci, siostr i rodziców, myśląc o naszym szabasowym obiedzie, uświadomiłem sobie, że nigdy nie było Planu B. Dekret Boga był wieczny. W tym sensie, wszystko co się zdarzyło, aż do lotu każdego pyłku, a nawet głębie było konieczne i nieuniknione jak geometria. Z punktu widzenia Boga, nie było czasu, zmiany, szansy, wolności. Wszechświat był pojedynczym czterowymiarowym stałym blokiem, od 4004 przed Chrystusem do nieznanego, ale pewnego dnia rozpadu. Poza tym, podobnie niezmiennie i niezmiennające, rozpościerają się pustynie wieczności: ekstaza dla kilku, agonia dla wielu.

Moje myśli pobiegły, jedna po drugiej, niczym na jakimś zakręcie. Jeżeli kosmos nie zmieniał się z punktu widzenia boga, czy nie był tak samo wieczny i konieczny jak Bóg? Jak zatem kosmos mógł być odróżniony od Boga? Jak geometria mogła być różna od Boga?

Do czasu gdy wszyscy zasiedliśmy do stołu, byłem w połowie drogi do Spinozy, ale bez jego intelektualnej miłości do Boga.

Ta mroczna wizja zaciążyła na moim umyśle. Możecie się zastanawiać, dlaczego nie udałem się po poradę do moich rodziców lub do kapłana. Bardzo wcześnie się nauczyłem, że kwestionowanie w istocie jest grzechem. Nie chciałbym dyskutować takich spraw z tymi osobami nie bardziej niż chciałbym dzielić się z nimi (podobnie rozpraszać, podobnie normalnymi) fantazjami seksualnymi.

Rok, a może trochę więcej, później, przeglądałem książki w jednej z tych śródmiejskich antykwariatów. (Internet był ograniczony, nowe wydawnictwa ocenzurowane, ale antykwariaty nie były jeszcze zweryfikowane). Natknąłem się na tom Lovecrafta. Otworzyłem, zacząłem czytać i się wciągnąłem. Skończyłem „Kolor z przestworzy”, zanim doszedłem do kasy, żeby zapłacić dziesięć dolarów. Wziąłem książkę do domu i przeczytałem ją od deski do deski, w tajemnicy i z zadowoleniem.

Wizja wszechświata u Lovecrafta to wszechświat stary, bezmyślny, bezlitosny mechanizm, gdzie potężne, stare, złe byty czekają i mogą w

każdej chwili nas podbić. Czytanie jego opowiadań dawało mi poczucie ulgi, światła, wolności, tej prostej radości jak u dziecko skaczącego na słonecznym trawniku. Wszechświat, w który najgorsze co mogło się zdarzyć to to, że Starsi powróciliby, gdy gwiazdy są na właściwych pozycjach, by zjeść nasze mózgi, taki wszechświat był nieskończenie bardziej radosnym miejscem od tego, w którym żyłem.

Moje dalsze badania (na starym dysku Britannica ciągle dostępnym w bibliotece) ujawniło mi, że, choć potwory były fikcyjne, podstawą wizji Lovecrafta było jego realne przekonanie. To przekonanie miało nazwę: materializm. Jeden klik przeniósł mnie do historii filozofii i imienia poety, który ją opiewał: Lukrecjusz. Widziałem to imię wcześniej, na grzbiecie cienkiej książeczki na tej samej półce co Lovecraft. Wówczas nic to dla mnie nie znaczyło.

Pośpieszyłem do tego antykwariatu i znalazłem poszukiwany skarb: książkę w miękkiej okładce wydawnictwa Hackett „O naturze wszechrzeczy” Lukrecjusza. Okładka była czarna, tytuł i szczegóły czerwone, imię poety białe - schemat kolorów, które mnie pobudził. Przejrzałem kilka pierwszych stron i byłem oczarowany. Oto człowiek, który ujrzał piękno natury tak samo jak jej horror bez zmrużenia oczu. Kupiłem książkę i niosłem ją do domu przylepioną do skóry. Czcilem ją z taką samą intensywnością jak Lovecrafta, ale z większą radością.

Po raz pierwszy w życiu, usłyszałem dobre wieści. Wciągnąłem tę czarną, dobrą nowinę do końca. Jej efekt duchowy był niesamowity, samopotwierdzający się. Życie było bezsensowe a moralność ludzkiej pomysłowości zniosła ciężar grzechu. Wciąż byłem niemoralny, ale już nie odpowiedzialny. Moja niemoralność wynikała nie z tego, że jeden z moich przodków zjadł jabłko, ale z tego, że wszyscy moi przodkowie zjedli się nawzajem.

Zdałem na studia techniczne, ukończyłem studia w inżynierii biomechanicznej i przy pierwszej nadarzającej się okazji opuściłem Dominion.

\*

Otworzyłem drzwi szafki. Zapach chemikaliów zmusił mnie do wstrzymania oddechu - szafka (specjalistyczny Drexler<sup>2</sup>) musiała właśnie usunąć swoje nanoroboty. Wewnątrz, znalazłem garnitur, koszulę, kilka par bielizny, buty i torbę. Wszystko pasowało doskonale. W kieszeni garnituru była karta. Przejrzałem ją szybko, sprawdzając tożsamość i historię. Wszystko pasowało. Karta zawierała też parę tysiąków lokalnej waluty, wystarczająco dużo, abym mógł znaleźć pracę. Na końcu korytarza było lustro. Sprawdziłem jak wyglądam, trochę wstrząśnięty, gdy przypomniałem sobie ostatni raz, gdy widziałem siebie w lustrze: kiedy patrzyłem na swoją twarz, którą pozostawiłem za sobą, po tym jak moja pierwsza kopia była uploadowana. (W wirtualnym środowisku statku, przy braku potrzeby golenia czy mycia, nie potrzebowaliśmy lustra. Arogancja, przyznaję, próżność, raczej nie). Na tyle, na ile mogłem powiedzieć, wyglądałem tak samo, może nieco bardziej ułożony i ostrzejszy, nieco młodszy. Zęby doskonałe, wzrok ostry. Ale były takie w wirtualce.

Nierozróżnialne jednak wrażenia, ciekawe, jak wpłynęły na mnie, byłem znowu cielesny. Inne ciało, zgoda, zbudowane z ulepszanego DNA, z optymalizowanym kodem genetycznym, inteligentnie zaprojektowane, bez śladu małpy, czy Adama wśród przodków - właściwie bez przodków, jeżeli o to chodzi. Spakowałem dodatkowe rzeczy do torby, dostosowałem wyraz twarzy do radosnej pewności siebie, której nie czułem, poszedłem do wyjścia i wyszedłem, prosto w Dominium.

Dominium - tak jak na Ziemi, zatem nie w niebie.

Stałem na chodniku niebrukowanej ulicy pokrytej różowym pyłem. Kilka wolnych pojazdów elektrycznych przejechało, jęcząc, kaszląc i wzbijając kurz, który powoli opadał w niskiej grawitacji, niesiony chłodną bryzą. Fronty sklepów i budynki mieszkalne miały wygląd galerii handlowej na krańcu miasta. Neony i hologramy błyskały lub migotały. Ulica, z tego co widziałem, była częścią podobnych ulic naokoło wnętrza kopuły. Na razie, znajomo, na podstawie zdruzgotanych Ameryk mojej pamięci. Co uderzyło mnie jako dziwne to brak śmieci i graffiti. Ten slums był uporządkowany jak przedmieścia.

Oglądając się dookoła, zobaczyłem prawdziwe Nowe Betlejem, wyrastające warstwami jak ziggurat, pod wypukłym niebem, poziom za



poziomem błyszczącej bieli i migotliwego złota, urozmaicony wiszącymi ogrodami, ukoronowany kopułą setki metrów nad ziemią, kilka kilometrów dalej i same będące dobre sto metrów wysokie. Wyglądała, jakby sięgała nieba, lub przynajmniej szczytu kopuły. Ponad tym, na sztucznym wietrze, Krzyż i Paski falowały prostokąty czerwonego, białego i niebieskiego wielkości boiska do piłki nożnej.

Architektura była wyjątkowo płytka. Wyobraź świątynię Mormonów zaprojektowaną przez Alberta Speera. Wybuduj ją z płachty diamentu. Dodaj barok, wyeliminuj elementy katolickie z kiczu, a na górze postaw Watykan i Bazylikę św. Pawła. Zrób ją dziesięć razy większą, a potem nawet jedenaście razy większą.

- Dopiero co wykluty, prawda – usłyszałem głos za mną. Odwróciłem się i zobaczyłem moją Lilith.

\*

Po dziesięciu latach wolności, w Brukseli, siedziałem w Du Bon Vieux Temps, zachwycając się witrażem o świętym Jerzym i Smoku, pałac Gaulois'a i pijąc piwo Trapistów, jednocześnie przeglądając oferty pracy „Le Soir” szukając czegoś lepszego niż pół etatu jako wykładowca w Louvain. Starsza barmanka również paliła, wentylacja grała tylko dla nas, a w klatce mechaniczny kos śpiewał Johny Halliday i Jacques Brel tak jakby to był jego salonowy trik.

Przeglądanie ogłoszeń jest dla ptaków, myślałem, powinienem ogarnąć programistów i mieć agentów na wszystko inne. Gdy już prawie zrezygnowałem, two słowa wpadły mi do ucha: „biomechanique” i „atheiste”. A potem trzecie: „Americain”.

Ktoś szukał pracownika z płynnym angielskim, z amerykańskim akcentem, wykształceniem biomechanicznym i niezmiennymi przekonaniem niereligijnymi. Kliknąłem "Zadzwoń" na ogłoszeniu i po chwili rozmawiałem z kimś o irlandzkim akcencie i doskonałym francuskim. Ojciec Declan O'Connell, ksiądz Kościoła Rzymsko-Katolickiego.

- To proste, Brian - powiedział, gdy trafiłem na biura Katedry na rozmowę kwalifikacyjną następnego dnia. - Międzynarodowy Trybunał

Sprawiedliwości w Genewie może przyjąć pozew przeciwko Dominionum.

Powód, którego imię możemy pominąć, potrzebuje twardych dowodów pewnych, hmm, naruszeń. Kościół ma środki i chęć, aby zebrać takie dowody, ale z powodów prawnych, których znów nie musimy wymieniać, potrzebujemy twardego, niezłomnego ateistę, aby wziął udział w naszym, hmm, zbieraniu dowodów. Nadaża Pan, Panie Henderson?

- Jasne - powiedziałem, popijając Dowe Egbert noir, niezbyt pewny, gdzie to wszystko prowadzi.- Ale, patrząc od początku, dość trudno wykazać łamanie praw człowieka przez Dominionum. To straszne miejsce, ale działa zgodnie z zasadami. Oni są sprytni.

- Dokładnie tak, Brian, dokładnie tak - powiedział Declan. - Prześladowanie ludzi, ale bez naruszania ich praw, to stara gra. Ale Kościół był w tej grze znacznie dłużej. Wie, jakich szukać dowodów. A Dominionum raczej się poddało, teologicznie mówiąc, od kiedy Pierwszy Kościół Odbudowy przesądził, że pewna klasa bytów nie ma praw.

- Czyżby wrócili do problemu rasy - spytałem zszokowany. -  
Przepraszam, mogę nie być na czasie ...

- Nie, nie problem rasy, właściwie - powiedział Declan - Problem syntetyków, syntetycznych ludzi i kopii oraz uploadów.

- Ale Dominionum na to nie pozwala - powiedziałem - Traktują te procedury jako grzeszne.

- Nie do końca - powiedział Declan. - Kopiowanie i uploady - tak. Ale inżynierię genetyczną, aby stworzyć nibyludzkie ciało ze sztucznego genomu, traktują jak narzędzie w ludzkiej cywilizacji - z ich punktu widzenia, jak produkcję sztucznych inteligencji. Na razie, Kościół, znaczy się, mój Kościół, jest w trakcie ostrożnej umowy. Ci, hmm, oddzieleni bracia poszli w złym kierunku, to jest w dogmatycznym twierdzeniu, że ludzie syntetyczni - niezależnie od tego, czy ich mózgi zawierają kopię umysłu człowieka, czy raczej własną tożsamość wykształconą w ramach dojrzewania od małego, czy raczej kopię sztucznej inteligencji - znajdują się poza przymierzem Noe, Mojżesza i przede wszystkim Chrystusa.

Albo, jeżeli skorzystać z świeckiego słownika, nie są ludzcy i nie mają

praw człowieka. Są tylko bioorganizmami. To samo stosuje się, mutatis mutandis, do kopii, uploadów i oczywiście AI.

Wzruszyłem ramionami. - To jest teoria. Gdzie to robią praktycznie?

- W kolonii marsjańskiej. To tylko podejrzenie, ale używają syntetycznych ludzi jako niewolników.

- Dlaczego, do diabła, przepraszam, potrzebują niewolników w New Bether? Mają przecież wszystkie maszyny, aby żyć w luksusie. Sądziłem, że o to chodzi - pokazać, że da się, zrobić prezentację.

- Prezentacja nie jest jeszcze otwarta - podkreślił Declan - Podejrzewamy, że kiedy kamery zostaną wpuszczone, pewnie za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat od dzisiaj, to Dominium ma nadzieję, że system będzie działał tak dobrze, że klasa służebna Syntów - wykrzywił usta, gdy użył tego lekko negatywnego określenia - nie będzie wyglądać jak niewolnicy. To właśnie proces podporządkowywania klasy chcą ukryć.

Potrząsnąłem głową. - Nie rozumiem, dlaczego w ogóle chcą mieć niewolników ?

Ojciec Declan położył łokcie na biurku i złączył dłonie. - Brian, Brian - powiedział - Dorastałeś tam. Niewolnictwo jest częścią ich ideału. ONZ nie pozwala praktykować go, nawet wymusiła na nich rezygnację z pracy służebnej, ale Dominium traktuje to jako ustępstwo. Posiadanie lokajów i służących jest częścią tego co postrzegają jako swoje prawo. A maszyny po prostu nie działają, psychologicznie, nie w ten sposób, co dysponować stworzeniem z ciała i kości, nieodróżnialną od człowieka, którą można traktować lub krzywdzić wedle pragnienia.

- Dobrze - powiedziałem - Rozumiem. Ale będzie trudno zdobyć dowód. To miejsce jest bardziej zamknięte niż odbyt mrówki.

Ksiądz zachichotał.

- Mamy plan jak się dostać - powiedział - Jeżeli w to wchodzisz, mogę Ci to wyjaśnić, o ile podpiszesz umowę o poufności.

Otworzył szufladę i wyjął kartkę papieru. Pchnął ją w moim kierunku razem z długopisem. Przejrzałem umowę. Prosta obietnica, z strasznymi

karami umownymi, nieujawniania niczego o pracy, niezależnie, czy zostaną przyjęty czy nie.

Podpisałem. - Zabawne - powiedziałem, oddając dokument - ale czuję się jakbym sprzedawał swoją duszę Diabłu.

Declan się roześmiał. - Z punktu widzenia Kościoła Odnowy - powiedział - to, co będziesz robił jest dokładnie przeciwne.

I opowiedział mi o planie. Kopie mózgow każdego członka grupy, w tym jego, miały być uploadowane. Pliki zasiedliłyby wirtualne środowisko w bardzo małym, gęstym computronium statku, który byłby skierowany na orbitę typu slingshot przez wyrzut z procy ESA, okrążyłby Wenus, wylądował na Marsie, podkraść się do Nowego Bethlejem, zhakował systemy miasta, zrobił nowe kopie mózgu i zainstalował je w specjalnie przygotowanych ciałach syntetyków wewnątrz miasta. W ten sposób, odkrylibyśmy w jaki sposób Synty są naprawdę traktowane w Nowym Betlejem. Aby nasze raporty dotarły na Ziemię, zrobiono by zabezpieczenie. Co do naszego powrotu, to był most, który spaliliśmy za sobą, kiedy się zdecydowaliśmy.

Naprawdę fajną rzeczą, z mojego punktu widzenia, było to, że ja (w realu) otrzymałbym połowę wypłaty za swoją część pracy. Pozostała część byłaby podzielona pomiędzy kopie, które przetrwały i wróciły.

- Czyli, jak weźmiesz kopię - powiedziałem z niedowierzaniem - wychodzę z stoma tysiącami za nic?

- Za cenę twojej duszy - zachichotał się Declan.

Oczywiście, poszedłem na to. Wiedziałem, że jeden ze mnie będzie za to żałował. Byłem tym, który żałował.

- Wal się - powiedziałem swojemu pierwszemu oryginałowi z komputera. Jak on mógł mi to zrobić? To było kompletnie zepsute.

- Przynajmniej jesteś pewien, że nie trafisz do piekła - powiedział Brian Henderson.

- Prawda - przyznałem.

- Nie może tak mówić - oryginał Ojca Declana powiedział prędko, zajmując miejsce w kamerze - Kościół Katolicki potwierdza, że masz duszę.

- Kościół Odnowienia już nie - powiedziałem. Uśmiechnąłem się półgębkiem do obu, tam, w śmiertelnych ciałach. - A wiecie tak samo dobrze jak ja, że jest to jedyny kościół, którego się obawiałem, a który może mieć rację.

\*

Nazywała się Geneva Channing. Czarne włosy, brązowe oczy, harda mina. Długi, watowany płaszcz, rozpięty, nad niskowyciętym topem bez rękawów, krótka jeansowa spódnica, odsłonięte nogi i kolorowe buty. Jeden kciuk pod paskiem torby, drugi kciuk zaczepiony o pas. Ciężar oparty na jednej nodze. Taką właśnie ją zobaczyłem. Taką właśnie ją pamiętam.

Z początku, sądziłem, że jest prostytutką, aż wyciągnęła rękę i się przedstawiła. prostytutki tak nie robią.

- Warren Dutch - powiedziałem potrząsając dłonią. - I tak, dopiero co mnie wypuścili.

- Ok - powiedziała. - Ruszajmy.

Złapała mnie pod ramię i ruszyła szybko ulicą, w kierunku miasta. Inni na chodniku - środek dnia, małe słońce stało wysoko - ledwo co na nas spojrzeli. W pewnym momencie, wielki czarny samochód, cały w fulerenowym pancerzu, z grubymi diamentowymi oknami, przejechał powoli koło nas. Napis wielkimi literami na boku POLICJA wcale nie był potrzebny. Spojrzenie kierowcy zza wizerka i pojechał dalej. Chwył Genevy na moim łokciu przez chwilę był mocniejszy.

- Co się dzieje ? - spytałem.

- Powiem Ci za chwilę - odpowiedziała. Dała mi kuksańca. - Tutaj.

Tutaj okazało się niczym nadzwyczajnym. Wąskie bistro, które wyglądało na bliskie bankructwa. Dwóch klientów, koło lady. Geneva poklepała wysoki stółek obok drzwi.

- Tutaj - powiedziała. - Ja płacę.

Mogłem przeczytać tablicę z daniami z dziesięciu metrów - zaleta zoptymalizowanego genomu.

- Czarna kawa, duża, i kanapka z wołowiną na ciepło.

Zostawiła torbę, co poczytałem jako gest zaufania i poszła do lady. Mój wzrok podążył za jej dupą i spotkał jej oczy, gdy wróciła z tacą. Usiadła i jej karta zniknęła.

- Dzięki - wzięłem łyk czarnej jawy i wgryzłem się w gorącą kanapkę. Geneva napiła się zielonego płynu z wysokiej szklanki przez słomkę, niegrzecznie, obserwując mnie.

- Pierwsze jedzenie i picie w tym żołądku - powiedziała.

Odstawiłem kubek, wylizałem sos z kciuka i kącików ust.

- Nie jestem taki wyrafinowany - odparłem.

- Kim byłeś - zapytała - zanim zostałeś Warrenem Dutch?

- Czy to grzeczne pytanie ?

- Nie, ale pytam.

- Dobrze - powiedziałem - Byłem studentem. Potrzebowałem pieniędzy. Zobaczyłem reklamę rekrutacyjną Dominion, pięć tysięcy dolarów za kopię mojego mózgu plus tyśiąc po drugiej stronie, oraz szansa na zarobek i odesłanie do domu. Nie, żebym wysłał temu gnojkwowi choć cent, nie wierzę, że byłem na tyle bezwzględny, by posłać kopię siebie tutaj - wzdrygnąłem. - To wtedy wyglądało na dobry pomysł. Ty?

- Dla mnie, to był dobry pomysł wtedy - odpowiedziała Geneva. - Byłam ćpunką. Moje życie było w rozsypce. Pewnie takie było dalej, tam. Dostałam taką samą umowę - uśmiechnęła się do mnie. - Nie tylko jestem czysta, nie mogłabym się uzależnić nawet gdybym chciała.

- Jak to wszystko tutaj wygląda? - spytałem. - To znaczy, słyszałem ... plotki.

- Och, niewolnictwo i takie tam? - Geneva uśmiechnęła się, zrobiła gest strzepywania. - Zapomnij. Tak długo, jak nie masz nic przeciwko

gównianej robocie dla ludzi, którzy tobą gardzą, wszystko jest w porządku. Nawet nie jesteście męczeni przez kościół. Nie ma duszy do zbawienia, prawda?

- A co z prawem, gliniarzami Dominium?

- Patrolują. Utrzymują porządek. Inwigilacja jest wszędzie. To wszystko. Nie ma prawa dla takich jak my. Nawet wyrywkowych kontroli tożsamości.

Nie wyobrażałem sobie miejsca takiego jak to bez prawa. Wyglądało zbyt spokojnie. A co do kontroli tożsamości, spojrzałem na swoje dłonie. Zmarszczki na kostkach, włosy na nadgarstkach, pierwszy brud zbierający się pod paznokciami ...

- Co powstrzymuje nas od udawania obywateli?

Geneva zmarszczyła nos.

- Mamy szczególny zapach ciała. Nie możemy się poczuć i jest to znośny zapach dla obywateli, przecież musimy pracować dla nich, ale jest nie do pomylenia. Przynajmniej tak mówią.

- To sprytne - powiedziałem. - Limbiczne.

Geneva mnie nie zrozumiała, więc jej powiedziałem.

- Och, tak, racja - powiedziała. Już wyglądała na znudzoną.

- Dlaczego czekałaś na zewnątrz body-shop? - spytałem.

- Nie czekałam! - odparła, zbyt gwałtownie. - Pracuję tuż obok. Po prostu przechodziłam.

Zauważyła moje wahanie.

- Nie, naprawdę - powiedziała. - Kiedy widzę kogoś, kto wychodzi z bodyshopu i spogląda na miasto z otwartymi ustami, mówię cześć.

- I stawiasz im kawę?

- Czasami - Geneva uśmiechnęła się. - Jeżeli wyglądają interesująco.

- Och. Mam nadzieję, że nadal jestem interesujący.

- Tak - odparła. - Jesteś interesującym kłamcą. - Wysiorbała resztkę zielonego płynu. - Ruszajmy

Wyszedłem za nią. Geneva poprowadziła mnie za róg, do węższych i ciemniejszych alejek. W końcu, zatrzymała się. Byliśmy na jakimś podwórku, ale bez trawy, czy śmieci, czy drzwi, przypadkowa przestrzeń niepotrzebnych metrów. Postrzępione ściany budynków niczym pudełka tekturowe ustawione w kierunku kawałka różowego nieba.

- Tu możemy bezpiecznie pogadać - powiedziała Geneva.

- Powiedziałaś, że inwigilują wszędzie.

Potrząsnęła głową, zirytowana.

- Nie jesteśmy dostatecznie ważni, aby nas szpiegować. Dominium interesuje się tylko ulicami i sklepami, albo kafejkami - Geneva wzruszyła ramionami. - Jasne, nawet tutaj są rozrzucone mikrokamery i mikrofony wielkości kurzu. Walić je. Nie ma szans, aby Dominium pilnowało wszystkich, nawet z SI. Więc zacznij gadać, Panie Warren Dutch.

Pozwoliłem się sobie skrzywić. - Gadać o czym?

- Kim naprawdę jesteś. Co zamierzasz.

- Chwilka - powiedziałem. - Przede wszystkim, dlaczego uważasz, że nie jestem tym za kogo się podaję? Ale najpierw, skąd mogę wiedzieć kim TY jesteś? Jeżeli Dominium chciałoby pilnować nowych Syntetyków, ktoś taki jak ty mógłby być na miejscu. Robiąc te rzeczy jak ta.

Geneva roześmiała się gorzko, aż poniosło się echo.

- Jeżeli jesteś tym, kim mówisz - powiedziała - już byś się do mnie przystawiał. Jeżeli byłbyś wyszkolonym agentem, nigdy byś nie poszedł za mną tutaj. Jeżeli ja byłabym szpiegiem Dominium, nie pozwoliłabym Ci iść za mną w to miejsce. Myślisz, że te gnojki potrzebują przyznania się do winy? Nawet tortur nie potrzebują.

- Nie łapię - powiedziałem.

- Spójrz - powiedziała cierpliwie - wiele krajów chciało - Geneva potrząsnęła głową jakby się przejęzyczyła - CHCE wiedzieć, co Dominium tutaj do cholery robi. Mam na myśli, oficjalnym celem Dominium jest



podbicie świata, więc reszta świata sądzi, że musi się martwić zamkniętą kolonią marsjańską. A jaki jest najprostszy sposób wysłania szpiegów? Właściwie JEDYNY? Twój sposób. Więc Unia i Europejczycy - Konfederacja nie ma możliwości - i tak dalej wysłali dziesiątki. Duży błąd. Jest tutaj, policzmy, około dziesięć tysięcy syntetyków. Sto tysięcy obywateli ...

- Co ! - krzyknąłem. - Już?

Wiedziałem, że Dominium wysła statek o napędzie jądrowym na Marsa z Nevady, ale nie miałem pojęcia, że liczby wzrosną do takiego rozmiaru.

Geneva zmarszczyła brwi, kiwnęła głową i podniosła dłoń.

- Wyjaśnię. Pozwól mi skończyć. Obywatele są najlepszymi i najbystrzejszymi w Dominium, i razem z dziećmi są dokładnie skanowani. Syntetyki są kopiami desperatów, biedaków, łajdaków, mętów czy niebieskich ptaków. Większość z nich pracuje dla obywateli, wykonując obowiązki służby, ponieważ tylko taka praca jest, lub próbują dorobić się na grzbiecie innych Syntetyków. Szpieg nie ma tutaj szans, ponieważ większość Syntetyków radośnie ich sprzedają, za wysoką nagrodę, oraz, poza tym, szpiegowanie w mieście nie doprowadzi do żadnych sekretów. Nie dostaniesz pracy jako poufny sekretarz, albo technik laboratoryjny, czy coś w tym rodzaju. Kucharze, sprzątacze, portierzy, lokaje - żadna z tych prac nie daje Ci dostępu do niczego.

- A utrzymania?

Geneva potrząsnęła głową.

- Trochę tego jest - powiedziała. - Męskich i żeńskich. Nie jesteśmy ludźmi, więc to się nie liczy jako cudzołóstwo. I nie jesteśmy zwierzętami, więc nie liczy się to też jako abominacja. Nie ma nic w Księdze Kapłańskiej o Syntetykach. Syntetyki i ludzie nie są płodni, właściwie Syntetyki są bezpłodne, ale wiesz, co mam na myśli, czyli żadnych kłopotów. I z tego co słyszałam, żadnego gadania w trakcie. Bum, bam, dziękuję, na ra. Żadnego zaangażowania emocjonalnego. Pogardzają nami i pogardzają sobą za sypianie z nami, lub inaczej, za zaspokajanie swoich dziwactw z nami.

Coś w jej tonie powiedziało mi, że to nie było coś, co Geneva tylko usłyszała.

- Czyli możliwość szantażu - zamyśliłem się.

- Nie rozumiesz, prawda? To nie jest grzech.

- Złapałem to - powiedziałem. - Ciągłe pozostaje wstyd.

Geneva pomyślała o tym.

- No tak, dla jakichś dziwactw. Szanse trafienia na właściwą osobę i właściwą kombinację okoliczności są dość nikłe, nie sądzisz?

- Aha. Co stało się ze złapanymi szpiegami?

- Przesłuchano ich i wymieniono na swoich, jeżeli dobrze pamiętam.

Cóż, to zabrzmiało jak sposób na powrót, nie żebym chciał próbować.

- Dobrze - powiedziałem - Powiedz mi, co robisz, a ja powiem Ci, co ja robię.

Pracowała, jak twierdziła, na Przedmieściach, wykonując dziwne prace dla różnych pracodawców. Jedną z takich prac było wyszukiwanie nowoprzybyłych i kierowanie ich do określonej agencji pośrednictwa pracy. Geneva nigdy nie była pewna, kiedy nowi się pojawią z bodyshopów, więc co jakiś czas czekała na zewnątrz, licząc na łut szczęścia. Złapała w ten sposób kilkunastu klientów. Nigdy nie poszła do pracy do Miasta, nie od kiedy ... cóż, o tym nie zamierzała opowiadać.

Powiedziałem jej, że rozumiem.

I wtedy, bez wspomnienia, że było nas kilka osób, opowiedziałem jej o swojej misji. Geneva wyśmiała mnie.

- Co jest takiego śmiesznego? - spytałem.

- Skłamałam - powiedziała. - Tylko, żeby sprawdzić, czy mówisz prawdę. Musisz być. Nie masz nawet pojęcia ...

- O czym skłamałaś?

Geneva zawahała się, jakby była niepewna, gdzie zacząć.

- Przede wszystkim - powiedziała - to nie dziesięć tysięcy Syntetyków i sto tysięcy obywateli.

Serce dudni. Och.

- ... tutaj jest *sto tysięcy* Syntetyków i *milion* obywateli.

O, Boże.

Wiedziałem, co te liczby oznaczają i przez irracjonalną chwilę nie chciałem wiedzieć.

- Jak długo? - powiedziałem w końcu. - Jak długo to miasto ....

- Pięćdziesiąt siedem lat - odpowiedziała.

Nie mogłem mówić. Liczba powtarzała się ciągle w myślach niczym grzmiący gong. Pięćdziesiąt siedem lat, pięćdziesiąt siedem lat, pięćdziesiąt siedem lat ... moja misja została zakończona zanim zostałem ucieleśniony przez drexler.

- Pięćdziesiąt siedem lat, marsjańskich - Geneva dodała.

I wtedy zaczęła płakać.

Wziąłem ją w ramiona, a ona zabrała mnie do swojego mieszkania.

\*

To nie było złe miejsce, mały apartament na trzecim piętrze kilka ulic dalej. Dwa pokoje, bieżąca woda i tym podobne, śmietnik, mikrofała, drexler i zestaw wypoczynkowy. Krzesła i stoły. Poduszki i inne. Według standardów Brukseli, było to porządne mieszkanie, według standardów większości ludzkości, mieszkanie było pałacem. Geneva postrzegala je według Nowego Betlejem, czyli jako rudere.

Powiedziałem jej, że nie musi za to przeproszać.

Wtedy Geneva znowu zaczęła płakać. Zacząłem zachowywać się jako gospodarz, kierując ją na krzesło, znajdując cokolwiek do wytarcia oczu, coś ciepłego do picia. W końcu siedzieliśmy naprzeciw siebie, w rękach kubki.

- Co się stało ? - zapytałem.

- Wojna - odpowiedziała. - Kolejna wojna. Pomiedzy Dominium i wszystkimi. Na Ziemi i w kosmosie. To tylko pogłoska i plotka, ale ... według naszej wiedzy, wszyscy odeszli. Od tego czasu nie było nowych statków i kolonistów. Budowa nadajnika radiowego może zakończyć się egzekucją, ale niektórzy zbudowali odbiorniki, z wielkimi antenami. Czasem łapią jakiś sygnał - prawie zawsze niezrozumiały, prawdopodobnie od postludzi, może następców wszystkich uploadów i kopii i Sztucznych Inteligencji, które wtedy wędrowały po Układzie Słonecznym. Nic z Ziemi. Obywatele nie rozmawiają o Dominium inaczej, jak tutaj. Według nich, oni wygrali. To jest Dominium. A obywatele są rasą ludzką.

Rozumiałem to dobrze - ludzka cywilizacja, zdruzgotana przez jedną wojnę nuklearną, mogła z trudnością przetrwać drugą w tym samym wieku. Dominium odziedziczyło większość arsenału nuklearnego pozostałego po byłych Stanach Zjednoczonych. Ta reszta - nawet po wykorzystaniu dużej części bomb jądrowych jako napędu pod płytami uderzeniowymi wielkich statków kolonizacyjny skierowanych na Marsa - byłaby wystarczająca do zniszczenia świata. Bez wątpienia, świat miałby coś do powiedzenia w tej sprawie. Dla wszystkich, byłby to Armageddon. Dlaczego mieli by się powstrzymać?

*Któreś zdobył, o blady Galilejczyku, świat stał się szary od twego oddechu...*<sup>3</sup>

Musiałem mamrotać, albo poruszać ustami, te słowa.

- Co to było? - zapytała Geneva.

- Nic ważnego - odparłem.

- Nie chcę ważnego - powiedziała Geneva.

Wstała i obesła stół, zgrabnie niczym tancerka, zbliżając się do mnie.

- Ja także - powiedziałem.

To była ostatnia zrozumiała wypowiedź z naszej strony przez resztę długiego, mglistego, krwistego popołudnia. Co mogę powiedzieć? Oboje mieliśmy młode ciała, pociągaliśmy się wzajemnie i potrzebowaliśmy jakiegoś pocieszenia. Przez cały wieczór, jak się pieprzyliśmy lub

odpoczywaliśmy po pieprzeniu, leżąc dookoła lub siedząc, jedząc i pijąc, drzemiąc i oglądając ekran kątem oka, rozmawialiśmy i rozmawialiśmy.

- To dziwne - Geneva powiedziała, gdy położyliśmy się w łóżku, pijąc coś ohydneho i alkoholowego, które przygotowała w drexlerze - ale powinnam być wdzięczna.

- Dlaczego?

Geneva podniosła dłoń i poruszyła ją.

- Za to ciało. Nie będzie się starzeć jeszcze przez długi czas, nie będzie chorować, nie uzależni się. Daje mi więcej przyjemności niż cokolwiek, co kiedykolwiek miałam.

- Zauważyłem.

- I naprawdę trudno je zmęczyć.

- To również zauważyłem.

Uśmiechnęliśmy się razem.

Wtedy ta myśl mnie uderzyła.

W wirtualce, stałem się, nie będę próżny, ale przyzwyczailem się do ciała znacznie lepszego niż to, które pozostawiłem za sobą. Oczywiście, to było wirtualne ciało, którego istnienie zależało od software'u, ale cała sprawa z posiadaniem wirtualnego ciała polegała na tym, że one przedstawiały ciała, które mieliśmy pozyskać, a nie ciała, z których byliśmy skopiiowani. Nawet myśleliśmy jaśniej, co nie znaczy, że bezbłędnie.

Zresztą wszyscy tak mieli. Byliśmy nieco bardziej racjonalni niż reszta ludzi. Nic dziwnego, że nie było śmieci i graffiti na przedmieściach Syntetyków. Pokój, bez użycia prawa!

Brak lojalności, również. Przypomniałem sobie, co Geneva powiedziała o szpiegach na których doniesiono. Zacząłem się zastanawiać, czy tak nadal było, po wieku życia tutaj i bez nowych szpiegów.

Bezdzietni ...

- W jaki sposób pojawiają się nowe ciała ? - spytałem. - W jaki sposób populacja Syntetyków sięgnęła stu tysięcy?

- Musi być więcej kopii do załadowania niż obywatele potrzebują - odpowiedziała Geneva. - Wygląda na to, że jest to automat - jak ich populacja wzrasta, to także nasza. Nie kontrolujemy tego.
- Ale moglibyśmy - powiedziałem. - Moglibyśmy nawet rozwijać nowych Syntetyków od małego, gdybyśmy chcieli mieć dzieci.
- Moglibyśmy, gdybyśmy kontrolowali body-shopy - odparła Geneva. - Jeśli. Ale nie. Wątpię, czy nawet Obywatele je kontrolują. Tak jak powiedziałam, to pewnie automaty. Jesteśmy miejskim udogodnieniem, jak parki, albo przetwórstwo śmieci.
- Wiesz co? - zapytałem. - Jesteśmy lepsi niż oni. To jest problem.

Geneva spojrzała na mnie, jak gdybym powiedział coś szalonego.

- Wyjaśnij.

Wyjaśniłem.

Następnego ranka, poszła ze mną do agencji zatrudnienia.

\*

Przez kilka następnych tygodni, w ciągu dnia pracowałem w centrum i nocami rozmawiałem w getcie - najpierw z Genewą, potem z jej zaufanymi przyjaciółmi pojedynczo lub dwójkami, w końcu do kilkunastu osób na raz. Z każdym dniem, byłem coraz bardziej przekonany do swoich racji. Byłem kelnerem, nosiłem bagaż, byłem kurierem, czesałem włosy i myłem stopy. Czasem wykonywałem bardziej intymne usługi. Widziałem obywateli publicznie i prywatnie. Oni mnie w ogóle nie widzieli.

Było tu dużo do podziwiania. Piękne bulwary, strzeliste budynki, błyszczące schody, bujne ogrody, rozkosze rodzinnego patriarchy. Mężczyźni byli silni, kobiety piękne - wstydlive panny, dumne matki, czcigodne babki. Ich suknie były dziełami sztuki. Dzieci były wychowane i szczęśliwe. Interesy kwitły, jak na takie małe i zamknięte społeczeństwo, rynek był zwawy, nawet architektura była dynamiczna, choć trwałe jak marmur, diamentowe budynki łatwo można było zmienić lub wymienić, niczym scenografię. Kult był prosty i szczery, wiara, według przejawów, uniwersalna. Całe miasto wyglądało jak realizacja marzeń Dominium o społeczeństwie, które połączyło chrześcijańskie cnoty z zastosowaniem

reguł możeszowych. Nie widziałem kamienowania czy biczowania. Okazja ku temu była dawno temu. Posłuszeństwo stało się wrodzone. Księża grzmieli, teokraci grozili, a kongregacje i zebrania konsultujące słuchały, bezkrytycznie i bez zmiany.

Wiedziałem, z moich własnych doświadczeń, że taki obraz nie był rzeczywisty. Musieli istnieć ludzie z wątpliwościami, wewnętrznymi udrękami, z myślami i pragnieniami, które trzymali tylko dla siebie. Musieli być, nawet, tacy, którzy zazdrościli nam naszego braku duszy. Równie dobrze mogli zazdrościć nam naszych ciał - ich dogmaty zakazywały majstrowania z obrazem Boga, inaczej mówiąc z genomem człowieka. Medycyna, zawsze ostrożna, zwolniła jeszcze bardziej w tej izolacji.

Nauka ruszyła do przodu. Było obserwatorium. Nowe produkty były wynalezione, nowe style zaprojektowane. Systemy podtrzymywania środowiska potrzebowały ciągłego utrzymania. Czasami ludzkie, albo zrobotyzowane, wyprawy wychodziły przez śluzy powietrzne, aby pobrać próbki z Marsa. Duża część studiów była skoncentrowana na rekonstrukcji historii geologicznej Marsa, całych sześciu tysięcy lat. Cały czas toczyła się bezładna dyskusja o tym, kiedy będzie konieczne wybudowanie kolejnej kopuły. Kiedy ten czas by nadszedł, i, biorąc pod uwagę średnią liczebność rodziny, to pewnie wkrótce, maszyny nanotechnologiczne wykonały by pracę.

Ten czas nie powinien nadejść, jeżeli miałem mieć cokolwiek do powiedzenia.

\*

Siedziałem za stołem w małej, śmierdzącej potem salce i patrzyłem na trzydzieści siedem doskonałych, uważnych twarzy, siedzących w rzędach. Na Przedmieściach Syntetyków mało było miejsc do zebrań - żadnych kościołów, urzędów, szkół - dlatego Geneva zasugerowała sale gimnastyczne. Tego wieczoru, ona - mój pierwszy nawrócony grzesznik i mój pierwszy apostoł - mówił do podobnego małego zebrania w podobnym małym pachnącym pokoiku.

- Wszyscy jesteście nikczemni - powiedziałem im. - My Syntetycy, zasługujemy na pogardę. Wykonujemy poniżającą pracę dla ludzi, z wyboru. Nie mamy nawet godności niewolnika na etacie, który przynajmniej może się tłumaczyć podległością. Jeżeli każdy z nas wybrałby życie według naszych potrzeb, moglibyśmy przestać korzystać z drexlerów. Zamiast tego, biegniemy do Nowego Betlejem każdego dnia, by zarobić dostatecznie dużo na trochę zbytku, trochę względów. Jesteśmy nieco bardziej racjonalni niż ludzie i dla każdego z nas drobna równowaga w korzyściach jest wystarczająca, abyśmy codziennie dokonywać tego samego wyboru, dzień za dniem.

- Nie musimy tego robić...

Ktoś podniósł rękę.

- Tak ? - powiedziałem, zadowolony, że sprowokowałem odpowiedź.

- Jeżeli wszyscy przestaniemy pracować - powiedział człowiek, który podniósł rękę - ludzie, Obywatele, mogliby zatrzymać drexlery. Kontrolują co możemy zrobić w maszynach. Mogą nawet zatrzymać nas przy zbieraniu materii organicznych zasilających drexlery. Wkrótce musielibyśmy wrócić do pracy i byłoby gorzej niż gdybyśmy nic nie zrobili.

- To prawda - odparłem - ale jaki wpływ miałby na nich nasze powstrzymanie się od pracy, i na nas? Musieliby zacząć nas szanować, a my zaczęlibyśmy szanować samych siebie. I to byłby początek, dla nas. Drobny początek, tak, ale po raz pierwszy, byłibyśmy ludźmi. Moglibyśmy nawet zaoferować ...

Drzwi otworzyły się i mężczyzna z kobietą weszli, kierując się ku miejscom samym końcu. Kilka głów się odwróciło. Rozpoznałem parę natychmiast.

- Ojciec Declan! - krzyknąłem. - Siostra Agnes!

Mężczyzna i kobieta zatrzymali się i spojrzeli prosto na mnie.

- Nazywam się Ginger McCoy - powiedział Declan. - A to moja żona, Leona Topaz.



Potem usiedli. Zastanawiałem się kiedyś, co się stało z resztą mojej grupy, jeżeli rzeczywiście kiedykolwiek przeszli. Teraz wiedziałem. Osiedli w takich samych warunkach jak reszta - naturalni Epikurejczycy, żyjąc nieznanym. Wątpiłem, aby ich religia przetrwała takie życie.

- Jak powiedziałem - podjąłem - jesteśmy podli. Ale moglibyśmy być wspaniali. Jeżeli szanowalibyśmy samych siebie, i zmusilibyśmy też ludzi, niechętnych przecież, do szacunku, wkrótce i oni zrozumieliby, że mamy więcej do zaoferowania niż poniżające i niepotrzebne usługi. Nie musimy być kelnerami, pokojówkami, portierami czy dziwkami. Moglibyśmy być naukowcami, wynalazcami, filozofami. Jesteśmy fizycznie i intelektualnie lepsi od ludzi i to wcale nie musi być wadą. Moglibyśmy zapewnić im coś, na co nigdy się nie zdobędą, moglibyśmy skontaktować się z postludźmi w Układzie Słonecznym i zbudować pomost pomiędzy ludźmi a postludźmi. Kto jest lepszy od nas, my, którzy byliśmy ludźmi kiedyś?

Agnes - Leona Topaz - wstała.

- Czy mogę przeszkodzić? - powiedziała, ze zdawkową protekcyjnością, która bardzo mnie ucieszyła.

- Oczywiście - odpowiedziałem.

- Rozumiem, co próbujesz zrobić, Warren - powiedziała, prawie wywarczając moje niewolnicze imię. - Kiedy przybyliśmy tutaj, dwadzieścia trzy marsjańskie lata temu, próbowaliśmy tego samego. Próbowaliśmy ewangelizmu. Ta próba załamała się na wyższości intelektualnej, o której mówisz. Wtedy próbowaliśmy, oczywiście, ty byś to nazwał teologią wyzwolenia - naszej potrzebie duchowej godności i to też upadło. Nawet próbowaliśmy zorganizować coś, co Ty byś pewnie nie chciał nazwać strajkiem. To się nie udało przez Dylemat Więźnia, akcja, która byłaby racjonalna dla wszystkich, jest nieracjonalna dla jednostek. Po jakimś czasie, zaczęliśmy myśleć w takim sam sposób jak każda przeklęta dusza tutaj i zrezygnowaliśmy. Porzuciliśmy nasze powołanie. W rezultacie, jesteśmy znacznie bardziej szczęśliwi. A nawet gdybyśmy wygrali, co wtedy? Czy wyobrażasz sobie, że Nowe Betlejem chce naszych myśli? Że chce naszych najlepszych? Ich starsi odrzucili by to z ohydą i prawdopodobnie zdecydowali obyć się bez naszej pracy.

- Ale nie bez jakiejś debaty, jakiegoś otwierającego się konfliktu - odparłem. - I to by spowodowało kwestionowanie i rozłam, które to miejsce potrzebuje, jeżeli ma rzeczywiście się rozwinąć.

- Dokładnie o tym mówię! - krzyknęła Leona. - Teokracja przewidziałaaby to kilometr wcześniej. Dlatego nigdy by nie pozwolili pojawić się pytaniom. Jeżeli zobaczyliby początek jakiegoś ruchu wśród nas, stłumiliby ten ruch, zanim mielibyśmy jakikolwiek wpływ.

Dokładnie tego chcę, pomyślałem, ale zatrzymałem to dla siebie. To był moment, żeby wznieść się na kolejny poziom.

- Stłumiliby ? - zapytałem. - I co to mogłoby oznaczać? Ich policja strzelająca do nas? Mordująca nas? Dobrze, niech tak będzie.

Usłyszałem wspólne westchnienie i sięgnąłem do pamięci po cytaty Lukrecjusza.

- Śmierć jest niczym dla nas - powiedziałem. - Cenimy życie, ale kto z nas boi się śmierci? Jeżeli uznalibyśmy, że musimy umrzeć, zmierzylibyśmy się z nią bez uchylenia i bez strachu. Pomyślcie nad tym i powiedzcie, że tak nie jest.

Przez moment, nikt nie odpowiedział. Odpowiedź, która się pojawiła, nie była zaprzeczeniem.

- I wtedy co? - tym razem był to Declan. - Jeżeli dojdzie do walki, oni mają przewagę dziesięć do jednego.

- Tak, jest taka przewaga - powiedziałem. - Sto tysięcy nas przeciwko ich milionowi. Ale większość z tego miliona to kobiety i dzieci, a my jesteśmy dorosłymi. I każdy z nas, mężczyzna czy kobieta, może walczyć z minimum pięcioma ich mężczyznami. Jesteśmy lepszym gatunkiem, mocniejszym, szybszym i bystrzejszym. Jeżeli dojdzie do walki, powinniśmy zwyciężyć.

- I wtedy co? - Declan dalej naciskał.

- To zależy - odparłem - jak bardzo będą się opierać. Prawdę powiedziawszy, wcale nie byłoby mi przykro, gdyby każda pozostałość tego nieudanego gatunku byłaby usunięta do ostatniego mężczyzny, kobiety czy dziecka.

Declan stanął obok Agnes/Leony. Z ich marsowym wyglądem wyglądali bardziej jak siostra i ksiądz niż żona i mąż.

- To obrzydliwe - powiedział Declan. - Nasza fizyczna i umysłowa wyższość nie daje nam prawa do zabijania, lub nawet krzywdzenia, prócz samoobrony. To, że moglibyśmy wygrać, zapewne przy strasznym koszcie, przyznaję. Ale przejść od tego do genocydu? To jest nie do pomyślenia! Oni są nadal ludźmi, oni są nadal naszymi ludźmi. Oni i my jesteśmy z tej samej krwi, stworzeni według tego samego obrazu Boga, cokolwiek myślisz i cokolwiek oni myślą. Zaprzeczaj lub wątp, jeżeli chcesz w istnienie Boga, ale nie może zaprzeczyć co to znaczy "stworzeni na obraz Boga", że ludzkie życie, nie bardziej niż nasze, jest święte.

Tym razem, to byłem ja tym, który wziął głęboki wdech. Wstałem.

- Przyjmuję twoje "stworzeni na obraz Boga" jako metaforę - powiedziałem - i daję Ci kolejną metaforę: "stworzeni w grzechu i zrodzeni w nieprawości". Grzech pierwotny! Całkowite zepsucie! To jest to, w co wierzą Dominioniści. Wierzą, że Bóg ich wybrał, nie z powodu ich zalet, ale z powodu jego własnej wolnej łaski. To jest, to w co wierzą i ta wiara sprowadziła ich na Marsa i pozwala im wytrwać.

- I wiesz co? Mają rację. Oni są całkowicie zepsuci. I my także. My także urodziliśmy się w grzechu, stworzeni do grzechu. Kogo grzechu? Naszego! Każdy z nas był, w którymś momencie, słaby albo chciwy na tyle, aby wysłać samego siebie do tego miejsca, tego piekła. Dlatego zasługujemy na pogardę, ponieważ, w sercu, gardzimy sobą. Jesteśmy całkowicie zepsuci, jak oni.

- Chwila, poczekaj - powiedział Declan. - Stwierdziłeś, że jesteśmy lepsi od nich, lepszy gatunek.

- Tak - odparłem. - Jesteśmy. Ale nie z powodu naszego wyboru. Jesteśmy lepsi, ponieważ byliśmy stworzeni lepsi, molekuła po molekuła we wnętrzościach drexlera. To jest wolna łaska, która została nam dana. Sugeruję, żebyśmy jej użyli i wysłali mieszkańców tego białego grobu do piekła.

Spojrzałem na rzędy zaszokowanych twarzy i uśmiechnąłem się. Straciłem większość z nich, ale to nie miało znaczenia. Zawsze ktoś zostaje. I

zawsze będzie więcej możliwości niż kazanie, aby rozpowszechnić wieści.

- Tu kończy się lekcja - powiedziałem, gdy Declan i Agnes ruszyli do drzwi. - Będę tutaj również jutro wieczorem.

Dotrzymałem tej obietnicy. Pięćdziesiąt siedem osób przyszło na to spotkanie. Około dziesięciu było z powrotem. Ledwo otworzyłem usta, kiedy drzwi na końcu holu otwarły się z hukiem i dziesięciu policjantów weszło, z wyciągniętymi bronią i pałkami.

- Śmierć jest niczym dla nas - powiedziałem i ruszyłem naprzód.

\*

Poległo osiemnastu z nas oraz wszystkich dziesięciu w tym obskurnym holu, zabraliśmy im broń i komunikatory. Rzuciliśmy granat zapalający do sali jak wychodziliśmy i ruszyliśmy naprzód, naprzeciw ryczącym pojazdom opancerzonym.

Rano dym wzniósł się z wielu miejsc na około przedmieść. Na każdym skrzyżowaniu od przedmieścia do Nowego Betlejem, nierówna walka trwała. Sankcje, o których Angela/Leona nas ostrzegła, były dokładnie tym, co było potrzebne, aby zmienić układ pomiędzy posłuszeństwem a rewoltą - aby rozstrzygnąć Dylemat Więźnia i więzienie. Nie wiem, czy to nas zdradzono, czy kamery sprowadziły na nas policjantów szturmujących przez drzwi i nie ma to znaczenia. Jak tylko zacząłem mówić o buncie, stłumienie było nieuniknione. To był mój i Genevy plan. Sukces tego planu miał gorzkie konsekwencje dla mnie, choć nie dla niej.

Jak wszyscy już wiedzą, zdobyliśmy Nowe Betlejem. Wbrew moim życzeniom, moi ludzie nie postąpili z pokonanymi zgodnie z ich własnymi pismami. Jesteśmy lepsi niż to. Nie jesteśmy totalnie zepsuci. Chciałbym to podkreślić bardziej, ale uczciwie nie mogę. Jesteśmy lekko bardziej racjonalni niż ludzie, ale tylko lekko. A ja, prawdopodobnie, jeszcze bardziej lekko niż większość.

Bo kiedy znalazłem Genewę martwą w ruinach Przedmieść, walczyłem z przyjaciółmi, zamiast porzucić jej ciało.

<sup>1</sup>Nieprzetłumaczalna sztuczka mnemotechniczna, pierwsze litery słowa TULIP (pol. tulipan) oznaczają główne punkty doktryny kalwinizmu

**T** – total depravity (całkowita deprawacja)

**U** – unconditional election (bezw warunkowe wybranie)

**L** – limited atonement (ograniczone pojednanie)

**I** – irresistible grace (nieodparta łaska)

**P** – perseverance of the saints (wytrwanie świętych)

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Pi%C4%99%C4%87\\_punkt%C3%B3w\\_kalwinizmu](https://pl.wikipedia.org/wiki/Pi%C4%99%C4%87_punkt%C3%B3w_kalwinizmu)

Stąd tytuł oryginalny „Tulip for Lucretius” może być inaczej interpretowany.

<sup>2</sup>Nanotechnologiczna drukarka, która potrafi wyprodukować praktycznie wszystko, w zależności od objętości maszyny, od skarpetek do statków kosmicznych, od nazwiska K.E. Drexlera

[https://en.wikipedia.org/wiki/K.\\_Eric\\_Drexler](https://en.wikipedia.org/wiki/K._Eric_Drexler)

<sup>3</sup>Z wiersza Algernon Swinburne [https://en.wikipedia.org/wiki/Hymn\\_to\\_Proserpine](https://en.wikipedia.org/wiki/Hymn_to_Proserpine)